Ner 19. Kraków, dnia 1go Października 1875. Rok VII.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca. — Włościanin kosztuje rocznie Złr. 3 w. a., półrocznie Złr. 1 cen. 50, kwartalnie cen. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie Złr. 4 cent. 60, półrocznie Złr. 2 cent. 30, kwartalnie Złr. 1 centów 15. — W Prusach i w Poznańskiem kosztują 3 talary.

(Zagroda wychodzi 8go i 24go każdego miesiąca.)

Kalendarz.

1. P. Remigiusza b. w.	5. W. Placyda męcz.
2. S. Aniołów Stróżów.	6. Ś. Brunona wyzn.
3. N. NMP. Róż. Kand.	7. C. Justyny panny m.
4. P. Franciszka Seraf.	8. P. Brygidy wdowy.

Adres: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica św. Jana, Kącik Ner 320.

O czerwonéj rzeczypospolitéj (republice).

Robotnik Walenty. Zgrozą mnie przejmują słowa tych ludzi, którzy nam prawią, że należy wszędzie szubienice powystawiać, i wszystkich którzy nam zawadzają, a w szczególności wszystkich szanujących prawny porządek, wszystkich majętniejszych itd. powywieszać, a mienie ich zrabować lub spalić, i popełnić inne jeszcze czyny, przed któremi się wzdrygam; ale mówią, że przy tém działoby nam się dobrze. — Cóż ty na to, Mikołaju?

Robotnik Mikołaj. Gdym słyszał coś podobnego, albo czytał o tém jakie pisemko krążące cichaczem tu i owdzie, zdawało mi się zrazu, że ci, którzy to głoszą, musieli się dobrze zastanowić nad skutkami mającemi wyniknąć z ich republiki, nazwanéj czerwoną od krwi i pożogi któremi się chcą posługiwać. Ale gdym to lepiéj rozważył, wyznam, że mi się dziwnie smutno robiło na samą myśl o podobnéj gospodarce!

Walenty. Wiesz co — mnie się zdaje, że podobne okropności możnaby popełniać chyba w zwierzęcéj wściekłości, albo po pijanemu; bo człowieka przy zdrowym rozumie sama myśl o tém zgrozą przejmuje. — I oni śmią jeszcze mówić, że wtenczas byłoby nam dobrze?!

Mikołaj. Poradźmy się tylko własnego sumienia i posłuchajmy rozsądnych ludzi, jak np. nasz kowal Maciéj, który nam zawsze powtarza i szanować każe najwyższe przykazanie „Miłuj Boga nadewszystko, a bliźniego twego jak siebie samego“, a wystarczy nam to za dowód, że wszystkie owe straszliwe czyny zachwalanéj przez szaleńców czerwonéj republiki są godne potępienia, bo sprzeciwiają się temu najwyższemu przykazaniu. Słuszniebyzrobili rozumni i sprawiedliwość miłujący ludzie, gdyby surowo karali podobne zwierzęcéj wściekłości wybuchy, ażeby ten, który nie słucha głosu swego anioła stróża tj. sumienia, musiał mu być posłusznym przynajmniéj z bojaźni kary. — Nie mogę pomyśleć bez łez o rozpaczy i narzekaniach kobiet i dzieci, gdyby kiedyś przyszło do podobnych zaburzeń na świecie. Czyż bowiem może być mowa o miłości Boga i człowieka stworzonego na jego obraz, gdy się ten obraz bóstwa niemiłosiernie zabija, owoce jego pracy niszczy lub rabuje i miliony współbraci nieszczęśliwymi czyni? — Jestto sprawa godna tylko szatana i jego potępieńców!

Dozorca. Z radością przysłuchiwałem się waszéj rozmowie, i przekonałem się, że idziecie za boskim głosem swojego sumienia, które wam nakazuje miłować bliźnich a potępiać owe zbrodnicze czyny niegodne człowieka, i że nie wierzycie podszeptom tych złych i na potępienie zasługujących ludzi, którzy was chcą złudzić. Fałszywe ich nauki stałyby się powodem powszechnego nieszczęścia.

Mikołaj. A jak to oni obiecują nam złote góry! jak przynęcają do siebie nadzieją posiadania tych wszystkich dóbr, które dziś do nieprzyjaciół czerwonéj republiki należą!

Dozorca. Moi ludzie kochani! sumienie wasze już dziś wzdryga się na samo wspomnienie owych haniebnych czynów; cóż dopiero uczulibyście wtenczas, gdyby wasze ręce splamione były niewinną krwią braci waszych?! Myśl o tém dręczyłaby was ustawicznie, nie mielibyście ani jednéj wesołéj chwili i przeklinalibyście

wasz krwawy nabytek, któryby zresztą nawet w waszych rękach nie był pewnym.

Walenty. O pewność mniejsza, bo jest nas mnóstwo: możebyśmy potrafili utrzymać się siłą przy swoim nabytku.

Dozorca. Bynajmniéj, bo nie skończyłoby się to na was. Gdy raz jędza mordu i rabunku podniesie głowę, wtenczas nikt nie jest siebie pewnym i jeden drugiego lękać się musi. Z tą samą nienawiścią, z jakąbyście wy zaparli się miłości bratniéj i pogwałcili wypływające z niéj prawo i własność, z taką samą mordowaliby was i rabowaliby wasze mienie drudzy, skoroby się tylko zebrała nowa zgraja łotrów, łakomych na wasze mienie. Takim mordom i rabunkom nie byłoby końca, i całą ludzkość pogrążyłyby one w nędzy i nieszczęściu.

Mikołaj. No, jakbyśmy postradali i to co posiadamy i nasze życie, cóżby się wtenczas stało z naszemi dziećmi?

Walenty. To też mnie się zdaje, że ci panowie czerwoni chcieliby tylko nadużyć siły rąk naszych, a nie chodzi im wcale ani o nasze życie ani o nieszczęście i rozpacz naszych żon i dzieci, byle tylko *im samym dobrze się z tém działo*, i opływali we wszelkie zmysłowe rozkoszy. To pewna, że choćbyśmy z téj zawieruchy unieśli życie, zostałoby nam jeszcze mniéj niż teraz mamy.

Dozorca. I ścigałyby was wyrzuty sumienia, żeście sprzeniewierzając się w tak okropny sposób miłości bliźniego, popełnili zbrodnię Kaina, pierwszego mordercy brata swojego. Prócz tego nie zapomnijcie i o tém, że po uspokojeniu téj burzy i po powrocie do porządku, karzące ramię sprawiedliwości nieochybnieby was dosięgło i surowo ukarało; bo z woli najsprawiedliwszego Stwórcy prawo musi karać złych, którzy w tak oczywisty i zbrodniczy sposób zawinili przeciw miłości bratniéj.

Mikołaj. Nie zdołam więc pojąć, jak mogą znaleść się ludzie przedstawiający korzyści czerwonéj republiki w tak złudny sposób!

Dozorca. Sąto oszukańcy, czychający na własną zdobycz. Ludzie ci pragną was pozbawić spokojności sumienia, życia, a przynajmniéj zdrowia; pragną wyzuć was ze szczęścia rodzinnego pożycia, uczynić was stokroć nieszczęśliwszymi niż się obecnie czujecie; a wszystko to, byle swoje najohydniejsze zamiary do skutku doprowadzić.

Mikołaj. To wy sądzicie, że nędza robotników zmogłaby się z zaprowadzeniem czerwonéj republiki?

Dozorca. Nie inaczéj; — bo skoroby tylko zwolennicy czerwonéj republiki wszczęli rozruchy i chcieli rozpocząć swoje krwawe rzemiosło, natenczas wszyscy szanujący najwyższe przykazanie miłości Boga i bliźniego, a gotowi za prawdę poświęcić życie i mienie, złączyliby się w interesie zagrożonego społeczeństwa i wytężyliby całą siłę wiedzy i ramienia, żeby walczyć przeciw tym niegodziwym i uwiedzionym, których czerwoni republikanie wybrali za krwawe narzędzie do dopięcia swych straszliwych celów i za ofiarę na rzeź przeznaczoną. — Tysiące z tych potworów i ich popleczników padłoby w walce pozostawiając nieszczęśliwe żony i dzieci; tych zaś, którzyby w walce ocaleli, powleczonoby jako zwyciężonych do więzień przed władzę karzącéj sprawiedliwości. Gdyby nawet zwycięstwo przy nich zostało na chwilę — bo zbrodnia nigdy długo panować nie może — zostawiliby kraj zalany krwią pomordowanych, spustoszony, zniszczony, praca byłaby zatamowana w polu i przy warsztacie, na wsi i w mieście; ci zaś, którzy do téj gospodarki rąk przyłożyli, widząc się w swym losie i bycie zawiedzionymi, obciążeni wyrzutami sumienia musieliby nanowo wrócić do pracy, bez któréj człowiek istnieć nie może — z tą jednak różnicą, że przy powszechném zniszczeniu i przewrocie niałatwoby znaleźli, zaspokojenie potrzeb ich utrzymania stałoby się stokroć trudniejszém, zamiast dawnego wiekami ustalonego porządku społecznego doświadczaliby wszystkich skutków bezrządu i nieładu, a zamiast rozumnéj wolności popadliby w niewolniczą zawisłość od swych przywódców i ulegliby ich samowoli.

Mikołaj. Oj uznaję, że czerwona republika nie przyniosłaby nam żadnego ratunku w naszym losie; owszem musiałaby go pogorszyć. Ale czyż nie możnaby losu naszego polepszyć na innéj drodze?

Dozorca· Moi kochani! jeżeli się zastanowicie nad przeszłością, to musicie uznać, że teraźniejszy los robotników jest znacznie lepszy niż był przed pięćdziesięcioma i więcéj laty. — Jestto skutkiem przyjmującego się i coraz więcéj szanowanego najwyższego przykazania miłości Boga, siebie samego i bliźnich. Wierzajcie, że zachowywanie tego przykazania coraz więcéj się rozpowszechni i utrwali, bo nad tém pracuje religia i moralność; a w miarę tego coraz lepiéj będzie się powodziło robotnikom i coraz więcéj starać się będą ludzie z rozumem i sercem o ułatwienie im losu — zadanie nie tak trudne zresztą do przeprowadzenia. Potęga bowiem téj

wrodzonéj ludziom miłości może jedynie doprowadzić ludzkość do coraz większéj szczęśliwości; gdy przeciwnie siła i przemoc jednych nad drugimi tylko niszczy świat i uszczupla ludziom szczęście, jeżeli go nawet zgoła nie zatraca. — Odwracajcie się więc ze zgrozą i wstrętem od mów i pism przedstawiających wam żądzę krwi dzikich zwierząt jako coś ponętnego; pomnijcie że godność człowieka nakazuje wam wznieść się ponad te zwierzęce żądze i niemi gardzić. Łączcie się z tymi, którzy wam wskazują zbawienie i szczęście człowieka w rozszerzaniu jego nauki i moralności, a pracują szczerze i usilnie nad dopięciem szlachetnych celów ludzkości.

Walenty. Dobrze nam radzicie, panie dozorco! Będziemy odtąd tém więcéj ufać poczciwym a mądrym ludziom, oraz wierzyć, że odwodząc nas od pożądania życia lub własności bliźniego, działają zgodnie z miłością chrześciańską i naszém dobrem. — Będziemy się starali pojąć i utrzymać tę wyższą godność człowieka o któréj mówicie, a spełniać nasze obowiązki moralne, od czego ta godność zależy; bo to pewna, że uczciwszą jest rzeczą znosić przeciwności i starać się o zaradzenie im przez wytrwałą pracę, nabywanie pożytecznych wiadomości i stosowanie się do zasad miłości braterskiéj, aniżeli pędzić życie w bezbożném pożądaniu cudzego dobra i lekkomyślném trwonieniu majątku na rozpustę i zbytki, o których marzą owi zwodziciele pragnący nas omamić.

Mikołaj. Tak jest; chcemy stale i szczérze postępować według tych zasad, a przez to okazać się godnymi dobrodziejstw, które nam spokojne życie w społeczeństwie zapewnia. Niechno jeszcze zawitają do nas ci uwodziciele, to my ich przepędzimy za dziesiątą granicę!

Dozorca. Oby was Bóg umocnił w waszych poczciwych zamiarach! Jednakże strzeżcie się, żebyście takiego uwodziciela samowładnie nie skrzywdzili, bo tém samém postąpilibyście wbrew zasadom, których trzymać się pragniecie. Do tego zresztą nie macie prawa. Możecie jedynie o takim uwodzicielu donieść władzy, która już rozpozna i oceni, czy zasłużył, aby go według przepisów sprawiedliwości ukarano; bo tylko władza ma do tego prawo, a nie kto inny.

REKRUT.

Powieść, ułożona przez I. G.

Co tylko minęła ciężka i mroźna zima, rzeki zrzuciły z siebie lodowe skorupy, a ciepły deszcz wiosenny spłókał resztki śniegu z gór i błoni, wody spławnéj Wisły poczęły ożywiać się ładownemi galarami, płynącemi to ze złotą pszenicą do Gdańska*), to z cebulą, jajami lub suszonym owocem do Warszawy, stolicy Królestwa Polskiego, to z solą i drzewem tamże lub do Prus. Kupcy i przemysłowcy z różnych stron przybywający godzili ochoczych flisaków, którzy otrzymawszy naprzód po kilka złotych na rękę, podejmowali się robiąc wiosłem dostawić sumiennie i w całości na przeznaczone miejsce galar z ładunkiem. Po dopełnieniu zaś tego zobowiązania odbierali już na miejscu resztę umówionéj zapłaty, i pieszo lądem wracali do domu.

Flisacy dla uprzyjemnienia sobie długiéj a nudnéj podróży wodnéj, która przy najwięcéj sprzyjających okolicznościach, tj. przy pogodzie i dostatku wody, wymagała całych trzech tygodni czasu, starali się zwykle mieć pomiędzy skrzypka, rozweselając się muzyką i śpiewem.

Dziesięć galarów już naładowanych stało właśnie spokojnie na wodach pod Krakowem; z nadejściem zmroku ustał ruch pracy, a tu i owdzie zabłysły na nich ognie wśród ciemności. Flisacy nastawiali wieczerzę i równocześnie ozwały się wesołe skrzypki; rzną od ucha: tu skocznego krakowiaka, tam zawiesistego mazura lub żwawego obertasa. Po trudach dziennych i pracy przy ładowaniu nie zawadzi téż — kto ma na to — pokrzepić się i trunkiem, byle w miarę; więc przy pogadance, kubek z pieniącą anyżówką przechodzi z rąk do rąk, a starsi bywalcy prawią młodym i niedoświadczonym o rozmaitych przygodach jakich sami doświadczali na flisie; o krajach jakie zwiedzili, i o różnych u ludzi obcych obyczajach, ucząc ich zarazem, jak radzić sobie należy w tysiącznych wydarzyć się mogących na wodzie kłopotach; jak omijać haki i prądy, jak odbijać od stromych brzegów na zakrętach; jak w czasie burzy ratować statek, towar i siebie; na miejscu zaś już będąc, jak się strzedz przed kradzieżą i oszukaństwem ze strony złych ludzi. — Ci co po raz pierwszy puszczali się w tę daleką podróż, słuchali z uwagą i uszanowaniem tych przestróg i upomnień, udzielanych im przez starszych ze szczerotą i wylaném sercem; a potém odstawiwszy od ognia gotową wieczerzę, jakitaki posilił się skromnie,

*) Gdańsk, miasto portowe i handlowe, jest stoł cą Pomorza, tn jest téj części dzisiejszych Prus, która niegdyś przez długie lata należała wraz z Gdańskiem do Polski.— W bliskości Gdańska rzeka Wisła wpada do morza Baltyckiego.

i poleciwszy się opiece boskiéj, rozciągnął się na rozesłanéj macie i niebawem zasnął głęboko. Pogasły téż ognie i dokoła zaległa cisza, tylko niekiedy przerywana poważnym szmerem lub silniejszém wód pluśnieniem, krzykiem nocnego ptaka, albo téż dolatującém zdaleka miejskich zegarów biciem. Na jednym tylko galarze przy blasku gwiazd późno w noc widno było klęczącą jeszcze postać ludzką. — Byłto poważny Wojciech, najstarszy z flisaków; odmawiał on wieczorne pacierze, a jako człowiek doświadczony w swojém rzemiośle, wiedząc że w takiéj podróży na rozmaite przygody gotowym być trzeba, oddaje on w opiekę Panu Bogu nietylko samego siebie i swego syna Michałka który już śpi smacznie, ale i wszystkich towarzyszów swéj żeglugi, nie wyłączając właściciela galarów wraz z dobytkiem jego.

Nazajutrz ledwo świtać zaczynało, a z licznych żyjątek w przyrodzie jeden tylko słowik, nie śpiąc gdzieś tam ukryty w głębi wiklin, kończył swą piosenkę nocną, nasi podróżnicy odbijali już od brzegów, żegnając je nabożną pieśnią, któréj poważne tony rozlegały się w przestworzu, łącząc się z rzewną melodyą, wygłaszaną właśnie przez trębaczy z wieży kościoła Najświętszéj Panny Maryi, pod któréj świętą opieką puszczali się na wody.

Na tym właśnie galarze, który Wojciech prowadził, w wystawionéj dla ochrony od słoty i chłodu budce płynął i sam właściciel galarów, żyd już w latach, mający przy sobie szesnastoletnią córkę Rachelę, która zastępowała mu zarazem miejsce gospodyni i służącéj; każdego więc poranku po odbytych modlitwach nakrywała ona dla ojca mały stolik, ukrajała cebuli i chleba, napełniła kieliszek słodką pomarańczówką, a potém przyglądała się z radością, jak stary pożywał śniadanie. Czasem poczęstowała téż i obecnych na tym samym płynących galarze. Była to istotnie — choć izraelitka — poczciwa, litościwa i bogobojna dziewczyna; nadewszystko zaś troskliwa i przywiązana córka. Ojciec téż kochał ją bardzo i nierzadko chwalił się przed flisakami, że Rachel jest największém jego bogactwem. — Słuchaj ty, Michałku! — mawiał on nieraz do Wojtkowego syna, wesołego chłopaka z okolic Krakowa — jakby broń Boże galar nasz miał tonąć, to ratuj najprzód moją Rachelę; bo wiem, że ty Michale doskonały pływacz jesteś, i mocny a uczciwy chłopiec. Jak zaś, mój Michałku, wyratujesz Rachelę, to mnie ratuj, a potém pomagaj ojcu ratować galar. — Przy tych słowach podawał mu zwykle kieliszek anyżówki, jakoby na zadatek za ową przysługę. I tak od czasu do czasu ciągle jedno powtarzał, jakby dręczony złém przeczuciem. Michał potrząsał głowa, śmiejąc się i targując z żydem; to znów gniewając się niby, że mu ciągle suszy głowę o to ratowanie, choć żadne nie zagraża niebezpieczeństwo, bo cudna dotąd sprzyjała im pogoda. — Towarzysze Michała wyśmiewali się z niego, że się podejmuje ratować żyda, przymawiając, iż „dobrzeby się stało, gdyby żyd niechrześcianin utonął, za to co ludzi naokpiewał“.

Obecny temu Wojciech zwykł był odpowiadać im na to: Niech nas, moi kochani, Bóg zachowa od tego nieszczęścia, żebyśmy tu siebie i drugich potrzebowali ratować; gdyby jednak padło, żyd nie żyd — wszystko to stworzenie boskie i nasz bliźni! Jakby Pan Bóg dopomógł, dlaczegożby człek człeka nie miał ratować?!

* *
*

Trzeba wam wiedzieć, moi czytelnicy, że opisane tu przypadki zdarzyły się przed czterdziestu przeszło laty; zatém w owych jeszcze czasach, kiedy żydzi nietylko w naszym kraju, ale w całym niemal świecie doznawali pod pewnym względem ucisku i pogardy; nie przypuszczano ich bowiem do żadnych urzędów, nie wolno im było kupować ani nawet dzierżawić ziemi; brania zaś w arendę myt na gościńcach, propinacyj, karczem lub browarów chwytać się mogli tylko ukradkiem, to jest pod cudzém imieniem. Gdy więc nie pozostawało im prawie nic do życia oprócz handlu i przemysłu, nie można było brać im tak dalece za złe, że się starali jak najwięcéj i nie zawsze prawym sposobem z niego korzystać. Oni jednakże wtedy, choć bez skrupułu oszukiwali chrześcian, a osobliwie lud nasz nieoświecony, umiejąc przynęcać go do siebie rozmaitemi środkami, to przecież obok tego widzieliśmy niejeden przypadek, że w gwałtownéj jakiéj potrzebie żyd okazał litość i współczucie dla chrześcianina; że przywiązał się do gminy i miejscowości, w któréj się urodził lub tylko mieszkał przez czas dłuższy; że już od dziecka mówił po polsku niemal tak jak i požydowsku, a nawet nie wypierał się przychylności swojéj do narodowości i kraju, którego był nie obywatelem, lecz tylko mieszkańcem i gościem. A chociaż zawsze trzymał się ściśle i uporczywie swego odrębnego stroju, religii i obyczajów żydowskich, w Polsce był on jednak żydem polskim, na Węgrzech żydem węgierskim, w Niemczech żydem niemieckim itd.

Ale cóż mówić i jak sądzić o wielu dzisiejszych u nas izraelitach, którzy przypuszczeni (nad swe własne spodziewanie) do *równouprawnienia* bez żadnéj różnicy z chrześcianami i narodowcami, korzystając z tych świeżo i bezwarunkowo przyznanych im przywilejów, zważają tylko na własne dobro i uchylają się od wszelkich działań i obowiązków wspólne dobro kraju na celu mających. Wydzierają krajowcom, że tak powiem, z gardła wszelki zysk i zarobek przemysłowy; po miastach rugują ich z mieszkań i sklepów, które tamci od niepamiętnych czasów zajmowali, przepłacając je tak wysoko, że chrześcianin, zarobkujący uczciwym sposobem, nie wydoła iść w czynszu z żydem o lepszą. Jeżeli izraelita zakupi majątek ziemski, a nie chce mu się w nim pracować tak jak tego dziś wymaga postępowe gospodarstwo, ażeby przyniosło procent odpowiedni, ani téż pełnić przywiązanych dziś do własności ziemi obowiązków obywatelskich, podaje on za nieprzełamaną dla siebie przeszkodę w tym względzie: niesprawiedliwość władz samorządowych, jakotéż niesforność i brak oświaty w ludzie wiejskim; a sam nie chce się w niczém przyczynić do podniesienia jéj. Co jednak najgorszém jest w dzisiejszych u nas izraelitach oświeceńszych (z nielicznemi tylko wyjątkami), to to, że niewdzięczni nie chcą czy nie umieją być *żydami krajowcami*, wypierając się narodowości, wśród któréj od wieków żyją, rodzą się, wzrastają i bogacą się; która nakoniec swém zezwoleniem i głosowaniem wyjednała im to tyle ważne dla nich równouprawnienie! Jeżeli zaś ktoś im przypomni, że przed wiekami, w bardzo smutnych dla nich czasach, gdy w innych krajach prześladowano ich srodze i bezwzględnie wypędzano, Polska dała im gościnny i spokojny u siebie przytułek — odpowiadają z dumą, że oni stali się wtenczas jéj dobrodziejami, bo wnieśli do kraju pieniądze, a nadto zaprowadzili i podnieśli w nim handel i przemysł.

Winniśmy przyznać, że w tém ich twierdzeniu mieści się o tyle prawda, że wszedłszy do kraju — chociaż jako tułacze — podnieśli zapewne i ożywili w nim przemysł i handel; jedzakże więcéj niezawodnie na swoją niż na naszą korzyść. Z drugiéj zaś strony oni zapierać tego nie mogą i nie powinni, że jeżeli my pod względem przemysłu i handlu stoimy o wiele niżéj od sąsiednich nam narodów, to pomiędzy innemi powodami i ten przyczynia się do téj niższości naszéj niepospolicie, że tamte narody nie będąc od wieków tak jak nasz zalane i ogłupiane przez masy izraelickie, miały czas i sposobność próbowania na tém polu sił własnych i dojścia za pomocą tychże stopniowo do owéj doskonałości, na jakiéj dziś stoją. — Ale powróćmy do tych oświeceńszych dziś u nas izraelitow, którzy zamiast nauczać rozsądnie swych nieoświeconych braci i prowadzić ich do zgody i jedności z chrześciańską ludnością krajową, podburzają ich przeciwko niéj fałszywemi wnioskami i zasadami, głoszonemi w swych pismach i mowie. Ci to *fałszywi prorocy* wśród swojego ludu działają oczywiście wbrew jego własnego dobru, interesowi i spokojowi, zaszczepiając mimowolną niechęć do swego narodu w krajowcach i nawżajem. Najrozsądniéj uczyniliby téż zaiste, gdyby — zamiast ziać w kraju niezgodę i nienawiść — jako niepoprawni miłośnicy *wiecznego tułactwa* wywędrowali sobie całkiem, i z swém zebraném u nas bogactwem do owéj ojczyzny Jerozolimy, nota bene jeżeli ta zechce ich przyjąć u siebie i uznać za swych *prawych* synów; a mogą być pewni, że my, wzgardzeni przez nich krajowcy, nie przeszkadzalibyśmy im w wykonaniu podobnie patryotycznego zamiaru, anibyśmy płakali za nimi. Owszem, tym mniemanym dobrodziejom naszym życzylibyśmy na odchodném z całego serca: *szczęśliwéj drogi!* Tymczasem zaś powracamy do opisu naszego *polskiego żyda* Jankla.

II.

Już upłynął drugi tydzień żeglugi, pogoda służyła nieprzerwanie, a nawet od trzech dni było jak na kwiecień zbyt ciepło.

Nasi flisacy minęli już Warszawę i zbliżali się do granic kraju pruskiego; za kilka dni mieli stanąć pod Gdańskiem, od którego dzieliło ich już tylko trzydzieści mil, gdy pewnego dnia z rana chmurki szare poczęły wychodzić na niebo jedna za drugą od strony południa; rybitwy i jaskółki tłumem przelatywały ponad wodą, rysując końcami skrzydeł jéj powierzchnią i świegocąc około płynących spokojnie galarów. Wojciech, który, jak to powiedzieliśmy, nieraz już bywał w podróży, poglądając to na niebo to na wodę, rzekł:

— Trzeba nam się mieć na baczności, bo dziś będzie tu jakaś komedya...,.

— Co, co?... jaka komedya?! — zapytał z obawą stary Jankel, wychylając głowę ze swéj budki. — Mówcieno wyrozumialéj Wojciechu!... Rachel! poczęstujno Wojciecha, niech on prawdę wypowie.

Flisacy rozśmiali się z bojaźni żyha, mówiąc pomiędzy sobą, że Wojciech straszy go naumyślnie, żeby na nim wyłudzić poczestne; lecz Wojciech, jakby tego nie słyszał, spoglądając nieustannie to na wodę to na niebo, nie spostrzegł nawet stojącéj przy nim z pełnym w ręku kieliszkiem Racheli, dopóki ona nie przemówiła:

— Ja wam wierzę, mój Wojciechu; bo wy, będąc mądrym i sumiennym człowiekiem, nie drwilibyście sobie z mego starego ojca; dlatego więc pokrzepcie się, i niech wam Bóg da myśl szczęśliwą, jakby na nas dopuścił co złego.

Jankel, któremu szło nietylko o kosztowny towar, lecz i o życie córki i własne, nie mógł się już uspokoić i pytał znowu z bojaźnią:

— Co złego?... gdzie złego?... co ona gada, mój Wojciechu!

(Ciąg dalszy w przyszłym numerze).

WIENIEC KRAKOWIAKÓW.

Napisał

Bolesławicz.

(Ciąg dalszy.)

IV.

W Krakowie poznałem dobrych ludzi dużo:
Oni mi swą radą jak najchętniéj służą;
Przeciwności różne słóweczkami słodzą,
A piosenki moje chyżo się rozchodzą.

I czegoż potrzeba, gdy serce spokojne,
Kiedy z przygodami już wygrało wojnę?...
Gdy zdrowie i Wandzia jak róża rozkwita?
Gdy bieda przedemą głęboko ukryta?!

A Wandziato była — jak gdyby z obrazu!
Kochać ją musiałem od pierwszego razu;
Bo słodycz i dobroć z pięknością łączyła;
Bo we snach mnie ona nieżartem trapiła!

V.

W sześćdziesiątym trzecim tak pamiętnym roku
Przypasałem szablę do lewego boku,
Osiodłałem konia — mego przyjaciela —
I w las się puściłem w imię Zbawiciela.

Bo ojczyzna droga wzywała ratunku,
I wszyscyśmy byli w okropnym frasunku;
Więc gdy znak nam dali ludzie oświeceni,
Biegliśmy jéj bronić piersiami naszemi.

Było nas niemało, więc ochota była;
Mieliśmy huk broni — a w niéj nasza siła!
Mieliśmy i wodza, którego się słucha;
I mieliśmy księdza, co dodawał ducha.

Czekaliśmy na bitwę cierpliwie, swobodnie;
Serca nam gorzały jak gdyby pochodnie!
Pragnęliśmy prędzéj Moskali przetrzepać...
Lecz jak na nieszczęście, trzeba było czekać.

VI.

Byliśmy w Radomskiém w wioseczce Kowali,
Kiedyśmy zcapili raz oddział Moskali;
A żołnierzy u nich była wielka chmara.
Jednak się nie zlękła nasza młoda wiara!

Myśmy stali w górze, a Moskale w dole;
Oni utworzyli ogromne półkole.
Myśmy podpalili aż cztery stodoły,
By płomień oświetlił Moskali i doły.

Oni nas ni ujrzéć; myśmy zaś widzieli
I wszystkich do nogi chwackośmy wycięli.
Wzięliśmy armaty i niemało koni...
A krew się tam lała, że niech Pan Bóg broni!

Oj kręcili się téż, kręcili jak węże,
Bo przyznać musieli, że ich bili męże,
Którym świeci miłość, nadzieja i wiara,
Nie moskiewski przymus albo ukaz cara.

Mnie na drugi dzionek wyprawili w drogę,
Bom miał poranioną i rękę i nogę.
Pojechałem tedy nad samutkiém ranem,
Przykryty mój Boże, jakby zmarły, sianem.

VII.

Kiedy Krakowiaczek jest zupełnie zdrowy,
Spieszy on co żywo do serca królowéj;
Spieszy, by słóweczka usłyszeć pieszczone,
By się przejrzéć w oczach, gdy łezką zamglone.

Więc i ja spieszyłem wesoły i hoży
Do słonka mojego, do promiennéj zorzy:
Do Wandzi kochanéj, co się w serce wplata
Z miłością przeczystą nadziemskiego świata.

Jednak, chociaż szczerze kochała mnie ona,
Choć na polskiéj ziemi była urodzona:
Miłość dla ojczyzny zostawiła zdala
I pewnego razu poszła za Moskala!

Gardziłem nią srodze, a jednak tęskniłem,
Nie chciałem się martwić, przecie łzy roniłem.
Te myśli, że Wandzia żyje z naszym wrogiem,
Zerwały na długo z mojém szczęściem błogiém.

Co słychać w świecie?

— Powstanie w Hercegowinie i Bośni trwa ciągle; zdaje się nawet, że siły powstańców wzmagają się, choć z bałamutnych wieści niewiele można się dowiedzieć; bo i Turcy i powstańcy ciągle zwycięstwa sobie

przypisują. Konsulowie państw obcych, którzy pragnęli żądania powstańców w łagodny sposób załatwić i pokojowi pośredniczyć, nic nie zrobili; bardzo wiele mieli trudów w wyszukiwaniu pojedynczych oddziałów powstańców, aby zdania ich naczelników wysłuchać; ci działając na własną rękę, bez żadnego zarządu, każdy inne stawiał wymagania, tak iż porozumienie się bardzo trudne. To też usiłowania w celu załatwienia sprawy pokojowo chybiły i walka wre daléj z wielką zaciekłością. Turcy gromadzą coraz więcéj wojska; powstańcy znają lepiéj swoje góry, w nich się kryją i ztamtąd szczęśliwe na Turków robią wycieczki.

Jak niesprawiedliwym był rząd turecki i do jakiego stopnia Słowianie tureccy są oburzeni, najlepiéj wykazuje następujący dokument, który według tłumaczenia „Czasu" podajemy.

„Manifest nagich bośniackich rajasów do sultana, cesarza tureckiego, który w Stambule siedzi na tronie i od 500 lat ze swymi dostojnikami, agami i spahisami bośniackich Serbów łupi i gnębi.

„Wypowiadamy ci wojnę, potężny sułtanie, tobie i wszystkim twoim dostojnikom, którzyście sobie fanatycznie przyrzekli: waszemu samowolnemu panowaniu, ciążącemu na karkach biednych rajasów, nigdy nie położyć końca i zniszczyć ich waszemi niesłychanemi gwałtami i ogromnemi podatkami. Wojnę na śmierć!

„Setki bohaterów bośniackich podnoszą dziś swe jatagany, aby rozerwać więzy, jakiemi ty i twoje pijawki wolność ich skrępowaliście. — Setki bohaterów chwytają za broń, aby wytępić w twojém państwie tyranów i pijawki, i jeżeli ty nawet jednym z nich jesteś, to bądź przekonanym, że karabin serbski i ciebie nie chybi, i twoje seraje zadrżą, gdyż — młodzi i starzy chwytają za broń.

„Szeregi nasze nie liczą się na tysiące, tylko na setki; ale wiedz, że są tak silne, że się o nie cała twoja dzika i barbarzyńska potęga rozbije: gdyż każdy z naszych żołnierzy idzie do walki, w przekonaniu, że musi zwyciężyć.

„Rozważ, sułtanie, jak łakniemy za tobą i twoimi; jak tęsknimy za krwią i wojną — za tą wojną, w któréj krew się poleje nie przez zemstę, lecz za honor, pomyślność i wolność, któreście zdeptali; za pomyślność, którąście zniszczyli, okrutni Azyaci!

„Rozważ tylko, ty największy z tyranów, jak często słyszałeś nasz płacz i narzekania; jak często nasze prośby i zażalenia przedzierały się do twego tronu, a wszystko to rodziło w tobie tylko większą jeszcze nienawiść ku nam, a gniew twój miotał się przeciw nam coraz silniéj i silniéj.

„Tysiąc razy zdołałeś obojętnie przyglądać się, jak Serb kąpie się we krwi; niewinny i wierny prawu sądzony przez twoje barbarzyńskie trybunały, albo ze swawoli mordowany przez moslema, i nie wzruszało cię to, nie budziło w tobie żadnéj litości, nie skłaniało zmartwiałego języka do słów: „Dość długo byłem tyranem z przodkami moimi, syty jestem tyranii; teraz chcę dla moich dręczonych poddanych raz szukać prawa i wolności i takowe im udzielić" — Myśliszże, cesarzu, ty cesarzu tyranii i marnotrawstwa, że i nadal nazywać się możesz naszym?... mniemasz, że nas zmusisz przemocą; abyśmy pozostali na przyszłość twoimi wiernymi niewolnikami?... abyśmy cię utrzymywali, jakkolwiek ręce i siła nie są już w stanie zapełnić przepaści twego marnotrawstwa?... mniemaszże naprawdę, że ci wystarczy miecz i karabin, aby nas zmusić znów do dawnego jarzma?... Jeżeli tak, to strasznie się łudzisz, cesarzu tyranów! Broń, którą nas zwyciężyć zamierzasz, zniszczy twoje własne zbutwiałe państwo, i zawstydzony wtedy dopiero uznasz, że rajasowie oddawna mieli słuszność, gdy cię prosili, abyś się z nimi po ojcowsku obchodził.

„Dostateczne przytoczyliśmy powody, jakie nas skłaniają do rozpoczęcia wojny; a jeżeli cię nie wstyd unikać jéj, to podnieś pięść i krzywą szablę, abyśmy na wzór Kosowa to odzyskali cośmy stracili; gdyż — ziemia broczy krwią, czas rozpocząć walkę.

„Tak cię witamy, my Bośniacy, i oświadczamy ci, że wybiła godzina, żeby się Serbowie mieczem i krwią łączyli i połączyli

„Wystąp więc do walki z jakąbądź siłą; tu masz pierś i tu bohaterów, którzy już tyranią twoją depczą nogami i usiłują przywrócić w państwie pokój, porządek, wolność i jedność, które ty z twoimi zwichnąłeś i zniszczyłeś.

„Przyjdź, jeżeli ci się podoba; nie trać ani chwili. Ziemia niech się pod tym zapadnie, kto przed tobą pada! — Zawołaj i ty, jakeśmy to pierwéj z całego gardła wołali: Tu masz wojnę, stara pijawko! ty wrogu Serbszczyzny, nasz padyszachu!

„W Sierpniu 1875.

„Lud serbski ze wszystkich części Serbii."

Więc wobec takiego rozdrażnienia z jednéj strony i fanatyzmu Turków nieprędko końca walki spodziewać się można. — Obcéj pomocy powstańcy nie mają; książę Serbii Milan i książę Czarnogóry Mikołaj zamało mają odwagi, by Turkowi wypowiedzieć wojnę i braciom swym dopomódz; obce mocarstwa, bojąc się żeby z tego ogólne zamieszanie i wojna w Europie nie wynikły, wstrzymują ich zapał.

Austrya. — W Wiedniu obradują delegacye nad ustanowieniem budżetu wspólnego (wydatków) z Węgrami. — Stan zdrowia cesarzowéj, która będąc we Francyi spadła z konia i silnie się potłukła, obecnie już jest dobry.

Prusy i Niemcy. — Cesarz Wilhelm jeździ ciągle po kraju z jednych manewrów wojskowych na drugie. Księży i katolików Polaków prześladują ciągle; obliczono, że na czterysta kilkudziesięciu księży, którzy są w Poznańskiém, dotychczas jest tylko kilkunastu takich, których rząd nie skazał na więzienie lub kary pieniężne.

Hiszpania. — Jest nadzieja, że się wkrótce wojna domowa zakończy; żołnierze Don Karlosa opuszczają go licznie i uchodzą za granicę do Francyi; na samego Don Karlosa robiono zamachy.

Rozmaitości.

— W Stanisławowie odbyła się temi dniami wystawa rolniczo przemysłowa. — Jak piszą, udała się znakomicie; okazy z rozmaitych działów gospodarstwa rolnego i przemysłu krajowego świadczyły, że u nas gospodarstwo podnosi się coraz bardziéj; wieśniaków

wystawców było bardzo mało... co jest bardzo złe, bo juu byłby czas, żeby i lud lepiéj gospodarować zaczął. Podczas wystawy odbył się egzamin jednego młodego wieśniaka, który właśnie skończył szkołę parobków w Dublanach. Zadziwiał on wszystkich obecnych swemi wiadomościami gospodarczemi. Bardzoby dobrze było, gdyby włościanie synów swych jak najliczniéj do téj szkoły w Dublanach posyłali; płaci się tam bardzo mało; przyjmują nawet i bezpłatnie, a po nader krótkim czasie wróciliby chłopcy doskonałymi gospodarzami. — Te kilka słów naszych prosimy z uwagą przeczytać.

— W górach w okolicy Turki dnia 15 września spadł obfity śnieg. Powstała ztąd wielka trwoga, ile że żniwa nie są tam jeszcze nawet w połowie ukończone, a to z powodu słoty, jaka panowała w ostatnich tygodniach. — Owies, będący głównym artykułem żywności ludu górskiego, stoi dotąd jeszcze w większéj części na pniu; skoszony zaś gnije w polu w półkopkach i wysypuje się. — Faktem jest, że ludność powiatu turczańskiego z bardzo małym wyjątkiem nie zwiozła do téj chwili ani jednego snopka do domu. Wobec takiego stanu rzeczy obawiają się tam niedostatku, tém bardziéj że zagraża także brak paszy dla bydła w wyższym nawet stopniu niż przeszłéj zimy. To też niejeden gospodarz już teraz pozbywa bydło, obawiając się, żeby mu w zimie z głodu nie wyginęło.

— Na morzu lodowatém. — Pan Warrens, kapitan okrętu angielskiego „Greenland", dopłynąwszy do 77 stopnia szerokości północnéj, znalazł się ściśnięty przez lody tak dalece, że dalsza żegluga stała się niepodobną. Lody te rozciągały się ze wszystkich stron na milę przeszło.

Kapitan W. nie wiedział jak wyjść z tego położenia; panowała bowiem wielka cisza, i nie było nadziei, żeby ten stan rzeczy zmienił się prędko.

Niespodzianie jednak około północy powstał wiatr i zmienił się wkrótce w silną burzę. Usłyszano zarazem gwatowne pękanie lodów; gdyż pod wpływem burzy tworzyła się pomiędzy niemi długa cieśnina.

Nazajutrz wiatr ustał zupełnie, lody na prawo i na lewo rozstąpiły się i „Greenland" ujrzał się jak gdyby przy wejściu do kanału, pomiędzy wysokiemi lodowemi ścianami.

O dwunastéj w południe ujrzała osada na dwie mile przed sobą drugi jakiś okręt. Szedł on zwolna z wiatrem północnym, ale żagle ułożone były w dziwny jakiś sposób, a na pokładzie nie było widać nikogo.

Pan W. chciał się przekonać, co to za okręt; kazał więc spuścić szalupę na wodę, a wziąwszy z sobą kilku ludzi, udał się w kierunku owego okrętu. Im więcéj zbliżał się do niego, tém bardziéj wzmagało się jego zaciekawienie.

Okręt wydawał się niezamieszkany wcale. Szalupa przybiła do jego boku; za pomocą drabinki sznurowéj pan W. i jego ludzie znaleźli się na pokładzie, na którym nie zastali nikogo. — Pan W. zeszedł do kajuty kapitana.

Tam zastał jakiegoś człowieka siedzącego przy stole tyłem do wejścia i zajętego pisaniem. Zdawało się, że nie słyszy nowoprzybyłych. Kapitan dotknął się jego ramienia, ale człowiek ów nie poruszył się wcale. Wówczas p. Graucus przystąpił krok jeszcze, i stanął osłupiały.

Piszący był trupem. Zzieleniała twarz jego była twarda jak kamień, — widocznie zamarzł on w takiéj postawie.

Trzymał jeszcze pióro w ręku, a na papierze można było wyczytać następujące wyrazy:

„..... 14 listopada Od siedmnastu dni jesteśmy ściśnieni lodami. Od wczoraj brak nam paliwa. Kapitan usiłował wydobyć się z tego strasznego położenia, ale nadaremnie.... Żona jego zmarła dziś rano.... Pomocy żadnéj..."

Pisanie kończyło się na tém. Widocznie piszący zamarzł nad swojém sprawozdaniem

Cała osada okrętowa wyginęła w ten sam sposób. Na podłodze w hamakach leżeli majtkowie sztywni jak bryły lodu; w jednéj z kajut zmarzła kobieta trzymała martwe dziecko na ręku. Widok był przerażający.

Kapitan Warrens oddalił się z tego miejsca śmierci, unoszac z sobą pliki papierów i książkę protokółów żeglugi. Obecnie złożył o tém sprawozdanie u admiralicyi, która rozkazała zrobić stosowne poszukiwanie.

— Chléb z porośniętego żyta. — Ponieważ w tym roku, jak zewsząd donoszą, dużo jest porośniętego zboża, przypominamy czytelnikom stary sposób prof. Lehmanna, ogłoszony w roku 1858 w pismach rolniczych. — Profesor L. każe przy zaczynianiu mąki na trzy funty téjże brać pół funta soli. Sól tę rozpuszcza się w małej ilości wody i dodaje się w czasie gniecenia do ciasta, poczém dalsza manipulacya w niczém się nie zmienia i postępuje się jak z ciastem ze zdrowéj mąki. Chléb taki jest wyborny, nie różni się od chleba wypieczonego z mąki zdrowéj; gdy przeciwnie chléb z porośniętego zboża bez soli wypieczony, jest niesmaczny i niezdrowy.

Przypowieści króla Salomona.

„Nad wszystko czego ludzie strzegą, strzeż serca twojego; bo z niego żywot pochodzi.

„Oddal od siebie przewrotność ust, a złośliwe wargi niech nie będą przy tobie.

„Oczy twoje niechaj na dobre rzeczy patrzą.

„Od dobréj drogi nie uchylaj się ani na prawo ani na lewo; owszem odwróć nogę twoją od złego."

(IV, 23—27.)

Kto to czyta, niech dobrze rozważy!

— **Ceny zboża.** Pszenica biała polska od 9·00 do 11·25, podolska od 8·50 do 10·75, żółta od 8·50 do 11·00, czerwona od 9·00 do 11·25 — żyto polskie od 6·00 do 7·25, podolskie i rosyjskie od 5·75 do 7·00, jęczmień d·00 do 7·00, groch od 7·50 do 9·50, owies od 4·00 do 6o 4·25, rzepak od 11·00 do 11·50.

Wydawca: S. Jordan.
Redaktor odpowiedzialny: Jan Krawecki.

W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.